№ 8. Warszawa, dnia 13 (25) Lutego 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

JERZY BYRON.

(Dokończenie.)

II.

Druga epoka jego działalności.

W roku 1816, Byron opuścił Anglią i przebiegłszy Niderlandy w Genewie zaprzyjaźnił się z panią de Stael, która go napróżno zapragnęła pogodzić z towarzystwem angielskiem.

W Wenecyi prowadził życie złożone z najdziwaczniejszych sprzeczności. Z wielkim zapałem uczył się ormiańskiego języka, pływał i uježdżał konie po kilka godzin dziennie, noc zaś poświęcał albo pisaniu utworów poetycznych, albo bahandryom nietyle z upodobania jak na złość opinii swych ziomków. Później zwiedził Rzym i Ferrarę i podczas tych podróży oprócz innych poematów napisał dwie pierwsze pieśni Don Juana, różne w tonie i duchu od poprzedzających.

Poemat ten przez wielu za epopeję uważany, jest wiernym obrazem ówczesnego stanu duszy poety, która przebolawszy nad sobą i światem gorzkiem urąganiem z wszystkiego tak dobrego jak złego, szuka niejako sposobu aby ludzi poniżyć i spodlić. Tego pragnienia poeta nie zmienił i w pieśniach następnych, chociaż we własnem swem życiu niegodną siebie rozwiązłość, jakiej się sam później wstydził, szlachetniejszemi uczuciami zastąpił.

Główną do tego pobudką, była nowa miłość ku hrabinie Teresie Guiccioli za którą w 1818 roku udał się do Rawenny i tamże po rozwodzie jej z mężem wraz z jej ojcem i bratem zamieszkał.

Zaburzenia polityczne we Włoszech, zmusiły całą rodzinę do wyjazdu do Pizy. Tam prześladowany przez miejscową władzę odebrawszy wiadomość o utonięciu przyjaciela swego Schelleya, poety i równie jak on z całem wyższem towarzystwem angielskim pokłóconego, pojechał na brzeg morski do zatoki Spezia, tam ciało przyjaciela kazał spalić na stosie i z całą rodziną swej ukochanej pojechał w roku 1822 do Genui.

Sama jednak poezya, miłość i ciągła włóczęga nie były dostateczne do uspokojenia dręczących go niepokojów i żądzy obszerniejszego jego działania. Los Grecyi kruszącej jarzmo tureckie, do czego ciągle ją w pieśniach swoich wzywał, owładnął nim całkiem. Z kilku pośmiertnych jego poezyi widać jasno, że upokarzające go wspomnienie przeszłego sposobu życia naglilo go do czynów pięknych i szlachetnych. Porozumiawszy się więc z komitetem greckim w Londynie, uzbroił własnym kosztem okręt Herkules, zakupił wielką ilość broni i zasobów wojennych i w towarzystwie młodego brata swej ukochanej, Gamby i kilku innych puścił się na wyprawę w Lipcu 1822 roku.

Burza zwróciła go do portu. Wysiadł na brzeg i zwiedzając raz jeszcze opuszczone mieszkanie Guiccioli, wzruszony niewymownie odezwał się do towarzyszącego mu jej brata:

— Gdzie będziemy za rok o tej porze? Powiedz, gdzie będziemy?

— Czyż mogę to wiedzieć? — odrzekł Gamba.

— A może w grobie — szepnął Byron ze smutnem westchnieniem.

Były to słowa jakby prorocze, bo dziwnym zbiegiem okoliczności, tegoż dnia i o tej samej godzinie, zwłoki jego w roku następnym spuszczono do grobu przodków.

Wypłynąwszy powtórnie po dziesięciu dniach żeglugi zawinął do wyspy Cefalonii, gdzie aż do następnego roku przebywał. Stan ówczasowy Grecyi, słabość rządu, niedostatek pieniędzy a nadewszystko niezgody przewodników, słabą czyniły nadzieję powodzenia dobrego w przyszłości. Mimo to Byron posłał rządowi greckiemu 24,000 dukatów i uzbroiwszy dwa mniejsze statki na wezwania Maurokordata, przybył do Missolungi 5 Stycznia 1823 roku.

Po przyjęciu z wielkiem uwielbieniem publicznem, starał się najprzód przytłumić niezgody, powściągnąć nadużycia i złagodzić okrutny sposób prowadzenia dotychczasowej wojny. Zaraz potem zaciągnął na własny żołd oddział 500 Suliotów i zamierzył z nimi zrobić wycieczkę do Lepantu, co z powodu ich niekarności nie mogąc

przyjść do skutku, tak szkodliwie na zdrowie jego oddziałało, że już w połowie Lutego zaczął doświadczać paralitycznych napadów. Następnie niezdrowe powietrze miasta, przemoknięcie od deszczu na przejażdżce konnej, a nadewszystko ciągłe swary wodzów i żołnierzy, tak cierpienia powiększyły, że wkrótce zachorowawszy obłożnie, nieumiejętnie leczony, w trzydziestym siódmym roku swego życia oddał Bogu ducha skołatanego różnemi boleściami.

Na wieść o stracie tak bezinteresownego wielbiciela Grecyi, miasto okryło się żałobą, 37 wystrzałów armatnich obwieściło Grecyi i Europie o zgonie wielkiego męża, zawieszono uroczystości religijne, zamknięto sądy i sklepy i cała Grecya na trzy tygodnie powszechną przywdziała żałobę.

Śmierć pomału zaciera w umyśle ziomków dawne przeciw żyjącemu uprzedzenia, i imię Byrona dziś liczy się do najświetniejszych zaszczytów jego ojczyzny. Był bowiem takim poetą jakiego marzyły sobie wieki poprzednie. Pełen zapału, czarodziej serc, w nieszczęśliwem dążeniu goniący za uciekającym ciągle ideałem, a jednak zużyty i przeżyty sceptyk, nieubłagany szyderca a pełen tęschnoty za świętościami przez ludzkość utraconemi. Wygnany niejako z ojczyzny, znienawidzony i prześladowany przez panujące stronnictwo, które wymawianej sobie prawdy znosić nie mogło, z sercem ożywionem młodzieńczą niecierpliwością, marzącem o ideałach miłości i prawdy, czuł jedynie gniew i boleść, że ideały te nie są rzeczywistością. Wyciągał do nich ręce w snach swoich uniesień, napróżno, bo w świecie szukał tylko echa własnego usposobienia.

Dlatego po natchnieniu poetycznem następowało u niego szyderstwo i przekleństwo, a później uczucie czci pojawiające się zawsze w ludziach szukających szczęścia w namiętności.

Z GÓR DO ***

Moje su hory tam je moj raj

Dusz. Sava Pepkin.

Moje są góry, tam jest mój raj,
Zielone góry, zielony gaj,
Tam widzę szczęścia mego podwoje,
Za góry chętnie dałbym dni moje.

* * *

Tam widzę pyszne zorzy purpury,
Czy śniegi padną, czy deszczyk rosi,
Moje te hale, moje te góry,
Tam duch ku niebu się wznosi!

Myślą za ptastwem biegnę w te chmury,
Któremi turni grzbiet się pokrywa,
Moje te hale, moje te góry,
Tam moja luba przebywa!

Tam trawa piękna, strumień z kryształu,
Trzoda biegnąca z góry do błoni,
Tu słucham wesół, pełen zapału,
Czy głosik lubej zadzwoni?...

O! chodź ma luba i tu w tej hali,
Pośród traw górskich, pośród natury,
Jak gór tych dzieci będziem mieszkali,
Nasze to hale i góry!

Z weselem w sercu z radością w oku,
Uścisnę codzień usta z korali,
Przyniosę jagód, wody z potoku,
Tylko przyjdź luba do hali!

Przyjdź, jam samotny... złóż senną głowę,
Głos mój wytężę, by leciał w światy,
Ze snów twych wezmę piosnek osnowę,
Tylko przyjdź luba do chaty!

Cicho... głaz milczy, słyszę z daleka
Ptasząt śmiech, gwary na traw kobiercu,
Daremnie tęschny wędrowiec czeka,
Tyś mu obecną... lecz w sercu!

W. Karoli.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Iść naprzód, iść ciągle, nie oglądając się za niczem, biorąc z życia to tylko, co nie poniża nas w oczach własnych... Zdania tego nie słyszała ona nigdy wyrażonego głośno słowy, nie pomyślała go nawet, zapewne dlatego, że będąc tak bardzo młodą, nie miała wiele czasu na układanie podobnych sentencyi lecz zdaje jej się, niewiadomo jakim sposobem, że to przekonanie jej osobiste. Zasada ta, spowinięta w pół sen dzieciństwa, musiała leżeć oddawna gdzieś w głębi młodej duszki i słowa Jana wydobyły ją ztamtąd niespodzianie.

Dziewczynka myśli sobie to wszystko, trzymając list w rączkach, tak z niego dumna, jakby to było dzieło jej własne.

— Oh, Janie! jesteś dzielnym, zacnym chłopcem! będąc na twem miejscu, nie zrobiłabym inaczej! — woła głośno, z gorącym entuzyazmem.

Potem przychodzi jej na myśl, że jeśli młody stajenny spostrzegł już swą zgubę, musi być niespokojnym bardzo, w czyje tajemnica jego wpadła ręce.

Przebiegając sienie, widziała go z ojcem na werendzie pałacowej, domyśla się więc łatwo, że wezwany do hrabiego, zgubił list biegnąc tędy w pośpiechu.

— Cała nadzieja, że tatuś zatrzymał go jeszcze u siebie! Jeśli tak jest, Jan nie dowie się nigdy o wiszącem nad głową jego niebezpieczeństwie!

Postawiwszy kwestyę w ten sposób, dziewczynka nie namyśla się ani chwili. Zrywa się z trawy, pozostawiając tam swój bukiet, przerzuca parasolik przez płot na drugą stronę, umieszcza nóżkę w kracie parkanu i niezważając na mocno zagrożoną całość liliowych swych grenadyn, przeprawia się przez barykadę w ten sam sposób w jaki przebywał ją Jan przed pół godziną.

Po chwili klęczy już na jej szczycie i lekka jak sylfida, skacze na dół.

Teraz dopiero zatrzymuje się trochę, poprawia nieład toalety, rozpościera parasolik i szybko, ale ile podobna spacerowym krokiem dziedziczki, odwiedzającej swą stadninę, zmierza w stronę stajni.

Na szczęście, Jan nie powrócił jeszcze z pałacu. Panna Anna zastaje stajnię pustą i to sprawia jej głęboką ulgę.

Nie zważając na głośne rżenie swych faworytów, domagających się jej pieszczot, na wszystkie tony, jak strzała przebiega stajnię w całej długości, zatrzymując się w końcu pod oknem, gdzie stoi łóżko stangreta, tuż obok wielkiej skrzyni przeznaczonej na obroki. Na niej to dziewczynka umieszcza list w ten sposób, że ukryty w połowie pod porzuconą tam derką, nie będąc widzialnym zdaleka, może być spostrzeżonym zblizka odrazu.

Uczyniwszy to, oddycha z głębi piersi.

Teraz dopiero rozgląda się po tym końskim, zawonionym świeżem sianem i słomą przybytku, z większem niż kiedy zajęciem.

Widzi do trzydziestu pięknie utrzymanych anglików i arabów, ustawionych w dwa szeregi, poprzedzielane symetrycznie drążkami, owiniętemi starannie w plecionki słomiane. Widzi liberyę stangreta, wiszącą w ornamencie siodeł, szorów i rzemieni wszelkiego gatunku, porozwieszanych z pewnym estetycznym gustem, a dalej posłanie Jana, składające się z prostego sienika, derki i poduszki w grubej, płóciennej powłoce.

Skromne te akcesorya, otaczające dziecko zamożnej szlacheckiej rodziny, poruszają do głębi jej młode serduszko. Ale nie ma czasu na roztkliwianie się próżne, gdy chodzi o to by Jan nie zastał jej w tem miejscu.

Dziewczynka nie zrzeka się jeszcze opieki nad listem, który winien dojść rąk młodego człowieka, nie dojrzany przez nikogo. Drzwi otwarte ze stajni do wozowni, nastręczają jej dogodne ukrycie, zkąd będzie mogła czuwać nad jego bezpieczeństwem.

Zasunąwszy się w kącik, pomiędzy nowiuteńki kocz odesski, a starą, od lat czterdziestu nieużywaną landarę, czeka na powrót Jana.

Oczekuje niedługo.

Ukończywszy konferencyę z hrabią, stangret odchodzi do stajni szybko, biorąc się zaraz żwawo, do siodłania, przeznaczonego do posyłek konia. Hrabia doręczył mu właśnie list do swego brata, mieszkającego o dwie mile od Wańkowiec. Pismo jest ważne i niecierpiące zwłoki. Rozkazano mu siąść na koń w tej chwili, i ruszać samemu, nie wyręczając się żadnym, z młodszych stajennych. W trzy minuty, siwy kozak stoi już gotowy. Jan biegnie tylko jeszcze po liberyjny surdut, zrzucając po drodze płócienną swą kurtkę. W tej chwili spostrzega pod derką na skrzyni własną swą kopertę. Bierze ją, chwytając równocześnie za kieszeń, aby przekonać się dotykalnie o tożsamości swego pisma. Tak, to ta sama!... Młody stangret, jest mocno zdziwiony. Pamięta najwyraźniej, że schował list do kieszeni, i oto znajduje go tu niespodziewanie? Nie może przecież rozwiązać inaczej zagadki, jak tłomacząc ją sobie własnem roztargnieniem. Oczywiście, gdy wołano go do hrabiego, porzucić musiał go na skrzyni, wraz z piórem i atramentem.

Doszedłszy do tego przekonania, z żywym niepokojem oblicza następstwa, mogące wyniknąć z wypadku, gdyby list ten dostał się był w obce

ręce. Aby nie popełnić czegoś podobnego po raz drugi, kładzie go więc natychmiast na piersi pod kamizelką, którą zapina szczelnie pod samą szyję.

Panna Anna może się czuć zadowoloną.

Sądzi, że na teraz może się już uwolnić z roli opiekuńczego anioła! wymknąwszy się więc cichutko z pomiędzy kocza i landary, powraca do pałacu, tym razem legalnym zupełnie traktem, przez bramę.

W czasie drogi, rozmyśla co czynić jej wypada dalej?

Z początku ma zamiar zawiadomić zaraz rodziców o swem odkryciu. Pójdzie wprost do tatusia, rzuci mu się na szyję i nie puści dopóty, póki nie obieca wydźwignąć Jana z tak niewłaściwego dlań stanowiska! Drogi, kochany, złoty tatuś! taki bogaty, taki dobry, uczynny dla każdego! Weźmie z pewnością do serca tę smutną historyę i poradzi na wszystko.

Po głębszym namyśle, dziewczynka zastanawia się przecież, że nie tak to łatwo przyjdzie wynaleźć radę na tę biedę. Obcemu poddanemu, kształconemu po za granicami kraju, trudno będzie wynaleźć jakieś urzędowanie, a w tych stronach nawet niepodobna. Innej znów pomocy dumny stangret niezechce pewnie przyjąć, skoro nie chciał jeść darmo chleba rodzonego brata. Narobi się hałasu i to wszystko.

Z drugiej strony, nie jest zupełnie pewną, czy dowiedziawszy się o wszystkiem tatuś, zechce trzymać u siebie Jana? Co innego gdyby można coś poradzić. Lecz gdy rady nie ma? Nieprzyjemnie to zawsze mieć w domu sługę, w którym czujemy inteligencyę równą naszej.

Pod najmniejszym, najdelikatniejszym pozorem oddala się takiego człowieka z domu.

Skończy się na tem, że biedny chłopak pójdzie dalej w świat, służyć Bóg wie gdzie i u kogo. A na to panna Anna nie może pozwolić. Tu przynajmniej trafił nieźle, jak sam pisze i jak ona przyznaje to z zadowoleniem.

Więc nie, nic nie powie! Nie zwierzy się z swem odkryciem, nawet rodzicom! Tajemnicę Jana los oddał w dobre ręce.

Rezultat tych rozmyślań zalewa jej serce bezmierną goryczą, poczucia własnej bezsilności.

— Nie mogę uczynić dla ciebie nic, biedny, biedny Janie! — woła z głębi duszy z bolesnem uniesieniem. — Myśli o tej starej, nieznanej kobiecie, do której list był adresowany, opłakującej gdzieś daleko swe morderstwo zdolności syna i łzy ogromne, ukazują się na kruczych rzęsach drżące, przeczyste jak dyamenty.

Potem nagle przychodzi jej na myśl, że nie godzi się litować nad tą matką! Ma chłopaka dzielnego i może być szczęśliwa.

Uwaga ta osusza łzy dziewczynki w jednej chwili. Zazdrości tej kobiecie syna, byłaby dumną z jego posiadania!

W ruchliwej wyobraźni młodej główki, zmieniają się obrazy jak w kalejdoskopie. Przypomina jej się uśmiech Jana, gdy czyniła o nim spostrzeżenia po francuzku w czasie onego spaceru do lasu.

— Miał nie rozumieć! Naturalnie, że rozumiał. Musiał się śmiać, rzecz prosta! Wygadywałam wtedy same niedorzeczności. Co on mógł o mnie myśleć? Boże! kiedyż nareszcie obdarzysz mnie rozsądkiem? Chciałabym już doprawdy mieć lat pięćdziesiąt i żyć sobie spokojnie, bez wyrzutów sumienia, nad własnem, ciągłem głupstwem!...

* * *

Po obiedzie, od którego wstano w pałacu około godziny czwartej, cała damska połowa towarzystwa wyległa do ogrodu. Wieczorem spodziewani są liczni goście z sąsiedztwa, nie można więc myśleć o dalszej wyprawie w pole, do lasu lub na jezioro, co należy stale do codziennych zwyczai: trzeba się ograniczyć na przechadzce po parku, której to konieczności wesołe gronko poddaje się z żartobliwą rezygnacyą.

Hrabia z Endymionem nie biorą w przechadzce udziału. Zaraz po czarnej kawie, pozostawiwszy damy przy deserze, wprost od stołu udali się do stajni, w celu wypróbowania nowego wolanciku sprowadzonego dnia poprzedniego od fabrykanta z Kamieńca. Jestto maleńki, fantazyjny ekwipażyk na jednego konia, bez siedzenia dla woźnicy, pomysłu samego hrabiego, przeznaczony do objazdu pól i dalszych folwarków. Obaj panowie mają zakosztować jazdy po raz pierwszy w tem arcydziele.

Panie tymczasem przechodząc ogród, zniżający się tarasami w stronę gaju i jeziora, zbliżają się zwolna do kresu gdzie kończą się partye parkowe a zaczynają dzikie zarośla. Zaledwie przecież stanęły przy kracie, w której umieszczona lekka żelazna furtka, prowadzi na mostek i fale szeroko rozlanego wód zwierciadła, gdy na zwirówce biegnącej za parkanem wzdłuż parku, rozlega się lekki turkot resorowego pojazdu i przez kratę widać miniaturowy ekwipażyk, nadjeżdżający od strony stajen, pełnym kłusem dzielnego, karego anglika.

W powoziku siedzą: hrabia stary i młody, ostatni powodując pysznem, wykwintnie szlachetnych kształtów zwierzęciem, z niezrównaną wprawą i elegancyą.

Spostrzegłszy w ogrodzie jasne suknie i parasoliki, kary rumak zatrzymuje się na mostku.

Z obu stron ażurowej zapory sypią się teraz zapytania i okrzyki. Panie ciekawe są czy powozik dobrze jest wykończony? czy ściśle podług pomysłu wynalazcy? czy wygodny? lekki? zwrotny na jednego konia?

Panowie, osobliwie zaś wynalazca, są zachwyceni. W dowód czego stary hrabia ustępuje swego miejca w wolancie, proponując pannom by zajmując je z kolei obok Endymiona, wypróbowały same doskonałość arcydzieła.

Młoda połowa towarzystwa podejmuje projekt ten ochoczo. Furtka w parkanie otwiera się, wypuszczając na mostek grono wesołych, różnobarwnych motyli, które z gwarem otacza śliczny powozik, wspaniałego karosza i świetnego woźnicę.

Prawem starszeństwa i gościnności, panna Marya zajmuje pierwsze miejsce obok pięknego braciszka. Po niej z kolei siadają tam: panna Wanda i Antonina, Endymion obwozi je wszystkie zwirówką z jaką wiorstę drogi, skręcając potem po za stodoły, gorzelnię i objechawszy wokoło zabudowania gospodarcze, odwozi każdą z swych towarzyszek do furtki ogrodowej.

W końcu przychodzi kolej na pannę Annę. Endymion pomaga jej z galanteryą umieścić się na szczupłem siedzeniu, uśmiecha się dziwnie i rusza z miejsca wielkim kłusem. Aż do zwykłej mety idzie dobrze. Przybywszy przecież na oznaczone miejsce, młody człowiek zamiast zawrócić po za stodoły, zacinając silnie anglika, skręca w stronę przeciwną, na wązką polną drogę, wijącą się pomiędzy łąki i smugi, szalonym pędem uwożąc towarzyszkę w stronę ciemniejącego z dala lasu.

Dziewczynka woła głośno: że nieprzygotowaną jest na dalszą wyprawę, nie ma kapelusza ni rękawiczek, parasolik nawet zostawiła w parku przy parkanie! Srebrzysty jej dźwięczny głosik okazuje się przecież iście wołającym na puszczy. Próżno śmiejąc się z początku, później z widocznym gniewem, prosi aby zawrócił! Endymion uśmiecha się milczący, na każdą prośbę ślicznej panienki odpowiadając silnem zacięciem anglika, który nieprzyzwyczajony do podobnie szorstkiego obejścia, wyciąga się w coraz większym, szaleńszym kłusie.

Za chwilę są już pod lasem i młody człowiek obiecuje Annie, iż za minutę będzie już w kniei, gdzie cień, chłód liści, każą jej zapomnieć o kapeluszu i rękawiczkach.

Dziewczynka widząc, że prośby jej pozostają bez skutku, nie dodaje już ani słowa. Założywszy na piersiach ręce, milczy zachmurzona.

Niedługo są już w lesie.

Powozik pomyka teraz wązką, leśną drożyną, pośród czerwonawo złocistej gęstwiny dębów i leszczyny.

Endymion nie bardzo zważa na konia i drogę, gdyż patrzy na uroczą swą brankę, siedzącą tuż obok z brwią namarszczoną i zagryzionemi koralowemi usty.

— Aha, widzisz! nieprzystępna, zimna, złośliwa kuzynko! Jesteś teraz na mej łasce czy niełasce i zmuszę cię do kapitulacyi! — wymawia patrząc na nią fosforycznie błyszczącemi oczami.

Anusia nie odpowiada. Jest mocno obrażona za gwałtowne uwiezienie swej osóbki i nie uprosiwszy napastnika z początku, postanawia nadal pozostać niewzruszoną.

— Gniewasz się? seryo? Czyż nie uzyskam przebaczenia? — pyta żartobliwie młody człowiek.

— Być może, jeśli zawrócisz natychmiast i odwieziesz mnie do domu.

Endymion się śmieje.

— Oh, nic z tego! Nie powrócimy tam wcale, póki się nie zdecydujesz przyjąć mnie za męża! — odpowiada głosem wesołym, w którym drga głucha, tłumiona namiętność.

Dziewczynka wzrusza ramionami ruchem niewysłowienie wzgardliwym i odwracając zasępioną twarzyczkę w drugą stronę, patrzy spokojnie na szczyty poczerwieniałych dębów, z których niekiedy liść złoty spada zwolna na ich głowy.

Endymion czeka chwilę na odpowiedź, poczem obraca się w stronę panny, zupełnie już poważny.

— Nie odwracaj się Anno i mówmy seryo — wymawia zniżonym głosem. — Ja doprawdy kocham cię mocniej, głębiej, niż może sądzisz. Dziwna rzecz... spotykałem tyle kobiet w życiu, żadna przecież nie uczyniła na mnie tego co ty wrażenia. Nie wiem czem się to dzieje? Może właśnie pociąga mnie ku tobie to lekceważenie, którem chcesz mnie od siebie odpędzić. To pewna, że kobiety, które nas psują, posiadają w naszych oczach straszne mało wartości! Odkąd tu jestem, myśli moje, dusza, pragnienia wszystkie serca, są przy tobie. Bądź dla mnie łaskawszą, a zdaje mi się, że możemy oboje być bardzo, bardzo szczęśliwi.

Dziewczynka milczy, siedząc obok niego wyprostowana, sztywna, z zaciśniętemi usteczkami, około których zarysowuje się charakterystyczna linia niezłomnej dumy. Purpurowy rumieniec oblewający śliczną twarzyczkę i krótki, ciężki oddech, zdradzają tylko gwałtowną burzę, zrywającą się w hardem serduszku, od którego uderzeń drżą zwoje liliowych grenadyn, opancerzających pierś młodzieńczą, pełną ognia, mocy szlachetnych zapędów, tej wreszcie niespożytej energii pierwszej wio-

sny, od której siły rzutu, zależy bodaj cały dalszy przebieg ludzkiego żywota.

Endymion patrzy na tę piękną, świeżością poranku tchnącą postać i czuje, że za jej posiadanie oddałby może wszystko, czem uposażyły go losy tak szczodrze. Przysuwa się do niej tak blizko, że płomienny jego oddech obejmuje żarem jej twarz i szyję.

— Czyż nie odpowiesz mi Anno? — szepce stłumionym szeptem, gorąco.

Dziewczynka gwałtownym ruchem odsuwa się od niego, na brzeżek wązkiego siedzenia, spoglądając w twarz napastnika zaiskrzonemi oczami.

— Możesz mnie zawieźć o sto mil! możesz mnie zawieźć na koniec świata! zamknąć z sobą na którejkolwiek z odludnych wysp oceanu! lecz bądź pewnym, że nie oddam ci przez to mego serca! — wybucha namiętnie.

Endymion rumieni się, potem blednie. Usiłuje się uśmiechnąć, lecz usta jego składają się tylko w gorzkie skrzywienie.

— Trzeba ci przyznać, Anno, że jesteś szczerą, otwartą istotą i nie starasz się złocić pigułki, którą komuś podajesz! — wtrąca szydersko.

— Sam sobie jesteś winien, Endymionie — odpowiada spokojniej dziewczynka. — Kiedyindziej powiedziałabym ci może to samo, różnemi, nieco łagodniejszemi słowy, lecz gdy na mnie napadasz, odrzucam cię jak ten oto niepotrzebny listek, od siebie! — dodaje wyniośle, strząsając z sukni pożółkły liść leszczyny, zaczepiony między liliową gazę.

— To twoje ostatnie słowo, zachwycająca kuzynko?

— Ostatnie.

— A więc jazda! — woła młody człowiek, śmiejąc się głośno, śmiechem przykrym, w którym słychać wyraźnie zgrzytnięcie zębów.

Słowom tym towarzyszy kilka silnych uderzeń fiszbinowego bicza, pozostawiających grube pręgi na delikatnej skórze karego anglika. Rumak jest spokojny, łagodny, posiada przecież w żyłach krew szlachetną, gorącą, która oburza się na podobne traktowanie. Na lśniącą, aksamitną jego szyję, razem z lekką białą pianą występuje wypukła siatka żyłek. Otrzymawszy jedno jeszcze poniżające uderzenie, stula uszy złośliwie, spuszcza łeb między nogi i parsknąwszy szmatem piany pod kopyta na ziemię, porzucając równego kłusa, puszcza się cwałem.

Lekki powozik pędzi teraz jak strzała, koła jego toczą się w podskokach po nierównym gruncie leśnym, drzewa, krzaki, migają jak majaki w oczach jadących, którym gwałtowny prąd powietrza, tamuje oddech w piersiach.

Endymionowi podoba się taka jazda. Od czasu do czasu, głosem i biczem zachęca karego do szybszego biegu.

Po chwili przecież, spostrzega, że nie on już koniem, lecz koń nim powoduje. Odkrycie to ochładza znacznie jego krew wzburzoną, przywracając go odrazu do zwykłej przytomności.

Dostał odprawę od panny, jest zły szczerze, nie ma przecież ochoty skręcić karku jej ani sobie i stara się teraz usilnie powstrzymać pęd rozhukanego zwierzęcia.

Ale jest już zapóźno. Kary wziął wędzidło na zęby i ani myśli dać z siebie żartować! Chcieli od niego by pędził, więc pędzi! Gwałtowne ściąganie, szarpanie lejcami, drażni go tylko, doprowadzając do ostatecznego szaleństwa. Wydaje ciche, złośliwe rżenie i jeśli to być może, rzuca się naprzód jeszcze szybszym biegiem.

Maleńkie arcydzieło twórczości hrabiego, porwane siłą dzielnego rumaka, nie toczy się już po ziemi, lecz zdaje lecieć ponad nią, unoszone z odurzającą szybkością.

Droga tymczasem zapuszcza się w las coraz głębiej, staje węższą, mniej ujeżdżoną i niebezpieczeństwo wzmaga się z każdą chwilą. Gałęzie spuszczające się ku ziemi, grożą głowom jadących, podczas gdy koła wolanciku roztrzaskać się mogą z każdą chwilą o pierwszy lepszy korzeń drzewa.

Endymion to widzi i wśród zapasów z koniem zwraca oczy na towarzyszkę.

Urocza branka siedzi przy jego boku, bardzo blada, ale spokojna. Postanowiła nie uląc się szaleństw fantastycznego konkurenta i dotrzymuje sobie dzielnie słowa.

Chwyciwszy się obiema rączkami za skrzydło powoziku, aby nie spaść z siedzenia, łagodnie, pieszczotliwemi słowy przemawia do karosza, który znając ten słodki głosik, powinien się uspokoić. Ale rozbiegane zwierzę znajduje się już w tym stanie, że zdaje się, iż straciło wzrok i słuch zupełnie. Wydając czasami krótki kwik wściekłości, ze spuszczoną głową, ścisnąwszy w zębach wędzidło, leci przed siebie na oślep, z coraz większą furyą.

Raptem, gęstwina lasu nieco się przerzedza i oczom jadących odkrywa się to nagle, o czem wiedzieli oboje, lecz zapomnieli w tej chwili zupełnie.

Środkiem kniei przerzyna się jar głęboki, ten sam nad którym leży sioło i pałac, węższy tylko w tem miejscu, dzikszy, urwistszy, zarośnięty gęsto cierniem i głogiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

W roku 1881 nastąpiło uroczyste przyjęcie nowego członka. Zajmował on miejsce po uczonym archeologu i bibliofilu, de Saey. Tradycyjny zwyczaj nakazywał mu ocenić prace i wygłosić pochwałę poprzednika.

Wszyscy pytali jak krotochwilny Labisz wywiąże się z trudnego obowiązku. Wywiązał się wybornie, mowa jego akademicka pełna prostoty i oryginalności, była arcydziełem w swoim rodzaju.

„Całe życie — rzekł Labisz — pisałem dyalogi, nagle staję dziś w obec straszliwego monologu. Wasz język nie dostępny mi jeszcze. Wchodzę pomiędzy was, jak niegdyś praojcowie nasi, na pół barbarzyńscy Gallowie wchodzili do Rzymu, aby tam nauczyć się wymowy i odetchnąć wonią literackich arcydzieł. Nim wybije dla mnie godzina cywilizacyi, pozwólcie mi pokazać się czem jestem; spełnić do dna ubogą moją czarkę.”

I spełnił ją wesoło na cześć poprzednika. Głęboki znawca serc ludzkich, przebił się odrazu przez twardą łupinę i ukazał ukryte pod nią ziarno. Nie wdając się bynajmniej w uczony panegiryk, w filologu dał poznać człowieka, tkliwego ojca, wzorowego męża i gorliwego patryotę. Pełnemi życia słowy opisuje pierwsze spotkanie swoje z Saeym:

„Jeden z dzisiejszych kolegów moich — rzekł Labisz — zaprosił mnie na obiad. „Przyjdź do mnie, mówił, będzie także i Saey”.

„Wyznaję ze wstydem, nie rad byłem tem zaprosinom, pewien że się znudzę śmiertelnie. Wyobrażałem sobie pana Saey, jako wysokiego, chudego starca, z okiem zgasłem, cerą pargaminową. Wchodzę... spostrzegam przy kominku postać małą, fertyczną, policzki ma różowe, w rysach wyraz dobroduszności i słodyczy, z oczu wytryska dowcip.

— Czy będzie pan Saey? — szepnąłem do ucha gospodarzowi.

— Masz go przed sobą... to on.

— Niepodobna!

„Splątało to całkiem mój fantastyczny portret; podano obiad. Saey nie rwał się do słowa, ale gdy raz je podjął, sypał wyrazy jakby race, z prostotą i szczerą wesołością. Oczarował nas wszystkich.

„Po obiedzie zabierał się do wyjścia, napróżno chcieliśmy go zatrzymać. Nazajutrz dzień jego imienin, oczekiwał dzieci z gromadką wnucząt. Dopieroż to jął nam prawić o tej rodzinie, wysławiać żonę pobożną, wierną towarzyszkę dni długich, synów żywe wzory miłości synowskiej, córki pełne wdzięku i inteligencyi, wreszcie wnuczęta, istne pieszczotki.

„Po uczcie dziadunio w czapeczce na głowie, z tabakierką w ręku, siada na wygodnem krześle, jak feudalny pan, odbiera hołdy swych maleńkich wasalów. Wszyscy przystępują kolejno, według lat, to z upominkiem, tamto z bajeczką, najmłodsze z rumianą buzią do pocałunku.”

Po tym ślicznym obrazku, następuje drugi rzewniejszy jeszcze, z smutnych czasów oblężenia Paryża. Saey, siedmdziesięciokilkoletni starzec, miał prawo szukać opodal spokojniejszej ochrony. Nie oddalił się przecież: jako bibliotekarz został na straży ksiąg w pałacu Mazaryniego. Jeden z synów spełniał urząd na prowincyi, do niego to pisywał ojciec, gorącem słowem budził w nim siłę, zachęcał do wytrwania.

Labisz odczytał piękny ustęp z tej korespondencyi:

„Odwagi, odwagi dziecię moje! (pisał starzec w chwili kiedy Prusacy okrążali Paryż) z wesołem sercem spełniaj twoją powinność, a przedewszystkiem ufaj Bogu! Nasi ojcowie nie takie widzieli klęski, a przecież Francya zawsze się podźwignęła. Szczęście popsuło nas, dostatki rozmiękczyły. Odwagi, odwagi mój synu!”

Mowa Labisza rozrzewniła słuchaczy, niejeden uśmiech rozbudziła na ustach, nie jedną łzę wydobyła z ich oka. Dawno Akademia nie miała takich godów.

Do końca życia Labisz nie opuścił swej wioski, schorzałego dopiero żona z synem przywiozła do Paryża, gdzie po chrześciańsku w końcu Stycznia r. b. zakończył piękny żywot. Wszyscy akademicy i członkowie literackich towarzystw, zebrali się około grobu; najwymowniejsi gorącem słowem uczcili pamięć drucha. Setki wieńców posypano na trumnę.

Taki to jubileusz wyprawił Paryż swemu ulubieńcowi, w pięćdziesiątą rocznicę jego literackiego zawodu!

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dokończenie.)

Maksym milczał spoglądając ze smutkiem na piękną, zalaną łzami twarz młodej kobiety.

— Nic mi nie odpowiadasz? Czyżbym upadła tak nizko, że już mówić ze mną nie chcesz?

— Nie, Kasiu, nie posądzam cię o to — odparł — wiem że szanujesz mnie choć nie kochasz i że nie zapomniałaś o godności przynależnej uczciwej kobiecie.

— Posłuchaj mnie, Maksymie — mówiła błagająco młoda kobieta. — Byłam nędzną, szaloną i sama sobą pogardzam, lecz nie chcę być twoim katem!... Zraniłam boleśnie twoje serce, ciebie jednak proszę o pomoc i radę, wiem, że jesteś szlachetny i wspaniałomyślny nie odepchniesz zatem mej prośby... Przebacz mi, nie poznałam się na tobie... Broń mnie, przeciwko mnie samej!...

Za całą odpowiedź Maksym przygarnął ją sobie do piersi. Katarzyna nie odsunęła się od niego, jak dziecię chore i rozgrymaszone tuliła mu się do łona, szukając opieki u tego, którego Bóg przeznaczył jej za dozgonnego towarzysza.

Ten objaw zaufania był pociechą dla zbolałego serca Maksyma, a przeświadczenie, że żona więcej lękała się tego, aby nie cierpiał, niż najsurowszych jego napomnień, wpłynęło uspakajająco na wzburzony jego umysł.

— Chodź, moje dziecię — rzekła pani Maleyra pociągając za sobą Genowefę. — Gdy dwie dusze są tak blizkie porozumienia, Bóg miłosierny okaże swą łaskę, chodźmy Go o to prosić.

Przez tę krótką chwilę cała wewnętrzna istota Katarzyny uległa zupełnej zmianie. Gwałtowne rozdrażnienie ustępowało zwolna rozsądkowi i młoda kobieta nie drżała już na myśl o czekającem ją cierpieniu.

Z uczuciem głębokiego szacunku ścisnęła rękę męża, na której ślubna połyskiwała obrączka i spojrzała mu w oczy z wdzięcznością. Wszak jego tylko rozsądek powstrzymał ją nad brzegiem przepaści, jego ramię wspierało chwiejącą i nie dozwoliło zejść z prawej drogi.

Cisza zaległa pokój, nareszcie Katarzyna zawołała głosem przytłumionym łzami:

— O! przebacz mi! przebacz!

I schyliła się w objęcia męża.

Przyćmiony blask lampy oświetlał blade twarze Maksyma i Katarzyny z których zwolna znikał ślad przebytych cierpień, ustępując miejsca spokojowi.

Zdawało się, że te dwa cudowne wyrazy: „Przebacz mi”, jak dźwięki eolskiej harfy, niebiańską melodyą napełniają powietrze, kryjąc się w fałdach firanek, w liściach wspaniałych palm i nowym urokiem owiewając każdy sprzęt przypominający ubiegłe szczęście.

Jakieś dawno niedoznane uczucie ulgi napełniło piersi obojga. Wrażenie podobne można tylko porównać z uczuciem jakiego doznaje człowiek z ciężkiej powstający niemocy.

— Wiem, że jesteś mężną i szlachetną, moje dziecię — szepnął stłumionym głosem pan Levallier. — Niechcę nic wiedzieć o tem, czy mam ci co przebaczyć lub nie, to jedno tylko pojmuję, żeś bardzo pożałowania godna.

— O! tak, masz słuszność, Maksymie, posiadałam szczęście i zniweczyłam je dobrowolnie. Straciłam spokój duszy, który jest najwyższem szczęściem na ziemi i tylko ty jeden możesz mi dopomódz do odzyskania go, nie liczę na własne siły, gdyż przekonałam się jak jestem słabą, nie liczę na moją szlachetność, która okazała się kłamstwem, tobie tylko ufam, gdyż widzę, że niebo zesłało mi ciebie na ratunek.

W tej chwili służący oznajmił przybycie pana Lucyana Borrèze.

Maksym i Katarzyna porozumieli się spojrzeniem.

Pan domu postąpił kilka kroków na powitanie artysty, młoda kobieta pozostała w głębi salonu. Lucyan złożył jej pełen szacunku ukłon.

Ona odpowiedziała uprzejmem skinieniem głowy i zwracając się do pana Levallier rzekła:

— Mój przyjacielu, przyprowadź tu Genowefę.

Skoro tylko pozostali sami, Lucyan przysunął się bliżej do Katarzyny.

Miał jej tyle do powiedzenia; chciał jej wyznać swoją bezgraniczną miłość, cierpienia i nieubłagany rozkaz Maksyma. Chciał ją zapewnić, że nie postąpi wbrew jej woli, choćby mu przyszło walczyć z całym światem.

Lecz wzruszenie nie dało mu mówić a ze ściśnionej piersi wyrwał się jeden tylko wyraz, streszczający w sobie cały ogrom rozpaczy i błagania:

— Katarzyno!

Ruchem ręki Katarzyna nakazała mu milczenie, oczy jej nadziemskim płonęły blaskiem.

— Musimy się rozstać, Lucyanie — rzekła z mocą — wiesz, że cię kocham a miłość taka jest występkiem... Błogosławić cię będę jeżeli uszczęśliwisz Genowefę, ona jest lepszą i szlachetniejszą ode mnie a tem samem godną ciebie... Nie mam odwagi prosić cię, abyś o mnie zapomniał, lecz błagam cię, abyś uczucie twoje starał się zamienić na słodycz prawdziwie braterskiego przywiązania... Mam nadzieję, że potrafisz stłumić namiętność i zwyciężyć samego siebie, inaczej jakżebyś skarłowaciał w moim umyśle... a ja zawsze chcę mieć dobre o tobie wyobrażenie. Od ciebie nauczyłam się, że jeżeli dwie dusze chcą żyć w idealnym związku, nie powinny nigdy schylać swego lotu ku ziemi. Gdybyś ty nie był tak wzniosłym i szlachetnym człowiekiem, kto wie czy ja nie byłabym dziś istotą godną pogardy. Lecz ty łączysz w sobie geniusz z największemi przymiotami umysłu i serca; dzięki tobie nie utraciłam jeszcze mojej godności i poszanowania samej siebie. Dziękuję ci za to i żegnam cię Lucyanie!

Borrèze stał jak skamieniały, błędnym wzrokiem spoglądał przed siebie a z pobladłej twarzy życie zdawało się uciekać.

Słuchając tkliwie poważnych słów Katarzyny, Lucyan czuł jakby ostrze sztyletu, zagłębiające mu się w sercu! Po raz drugi tracił uroczy sen młodości...

Wyznanie Katarzyny wypowiedziane ze szczerą szlachetnością, podziałało i na niego cudownie.

Chciał pokazać, że nie przeceniła ani jego szlachetności ani czystości jego uczuć.

— Żegnam cię, Katarzyno — zaczął po krótkiej chwili milczenia. — Twój uśmiech jest dla mnie niebem, na jedno twoje skinienie z ochotą skoczyłbym do piekła, lecz przeznaczenie silniejsze od nas obojga na bolesną skazuje nas rozłąkę. Jedyną pociechą będzie dla nas myśl, że święty spełniamy obowiązek i że boleść szarpiąca nasze dusze nie stanie się nigdy udziałem najbliższych nam istot... Ta, której ofiaruję moje nazwisko, nigdy cierpieć z mego powodu nie będzie, brat jej nie będzie mi złorzeczył!... Przykrości samolubnie zachowamy dla siebie, Katarzyno, z ruin naszego szczęścia stworzymy szczęście dla drugich... Byłaś dla mnie zawsze ideałem, teraz skoro tracę cię na wieki, dosięgasz niedoścignionych wyżyn... Nie żądam abyś zachowała mnie w pamięci, lecz jeśli kiedy postać moja zjawi się przed oczami twej wyobraźni, powitaj ją jak brata, który z ochotą oddałby życie dla ciebie. Raz jeszcze żegnam cię Katarzyno!

Pani Maleyra zjawiająca się niespodzianie, usłyszała ostatnie słowa Lucyana.

— Moje dzieci — rzekła — postąpiliście bardzo szlachetnie, byłam pewna, że oczekiwania mego nie zawiedziecie i na prawą zwrócicie się drogę. Byłoby rozsądniej z waszej strony, gdybyście rozłączając się nie mówili sobie o swoich wzajemnych uczuciach, ale trudno wymagać od ludzi takiego stoicyzmu. Ani mężczyzni, ani nawet kobiety nie potrafią być aniołami... A! otóż nadchodzi Genowefa z Maksymem, pamiętajcież o tem, że oni cierpią z waszej przyczyny; ty szczególniej Kasiu, okazać się powinnaś dobrą i wyrozumiałą.

Katarzyna ujęła pod ramię Lucyana i zaprowadziła go do Genowefy, a składając dłoń jego w dłoni dziewczęcia rzekła:

— Pamiętaj kochanko, że z mojej woli zostajesz jego żoną. Spodziewam się że odtąd bardziej jeszcze kochać mnie będziesz.

— Chwała Bogu! — westchnęła pani Maleyra, lecz natychmiast dodała swobodnie:

— Co za szkoda, że muszę odjeżdżać z powrotem do Nicei, nie będę mogła być nawet na waszym ślubie... Oj! ci mężowie, to prawdziwa kula u nogi, gdyby chociaż powietrze w Nicei służyło memu małżonkowi, ale doktorzy twierdzą, że jest za ostre dla niego i wysyłają go gdzieindziej, on jednak upiera się i nigdzie jechać nie chce, twierdząc że mu w Nicei najlepiej.

— Niech pani zawiezie męża do Florencyi — odezwał się Lucyan.

— Czy ja mogę zabrać męża wbrew jego woli? Jak się uprze to nikt z nim nie poradzi.

— Sprobuj pani; skoro pani powiesz, że... — zawahał się Lucyan.

— Cóż mam mu powiedzieć? — ciekawie spytała pani Maleyra.

— Że we Florencyi właśnie panna Levallier uczyni mi zaszczyt zostania moją żoną i że pani musisz być obecną na naszym ślubie.

— O! beze mnie obejdziecie się z łatwością.

— Jakto, moja przybrana matka nie pobłogosławiła by mnie na nową drogę życia?

— Masz słuszność; ale zkądże przyszło ci do głowy brać ślub we Florencyi?

— Przecież to wszystko jedno gdziekolwiek się pobierzemy; mam nawet zamiar osiedlić się na czas jakiś we Florencyi jeżeli tylko pan Levallier nie ma nic przeciwko temu... Dziś jeszcze rozmawiając z panem nie umiałem dokładnie określić wyobrażenia o wiecznem pięknie w sztuce, chcę więc kształcić się jeszcze... Pan i Katarzyna ukazaliście mi piękno i dobro pod najmniej zmienną jego postacią i ja zatem pragnę dojść do tej samej doskonałości. Daję panu słowo honoru, że wszelkiemi siłami starać się o to będę.

Maksym wyciągnął rękę do artysty, zamiar tego dobrowolnego wygnania wzruszył go głęboko i przywracał w umyśle pana Levallier zachwiany chwilowo szacunek.

— Wierzę twojemu słowu, mój drogi Lucyanie — rzekł i urwał nagle głębokiem przejęty wzruszeniem.

Ochłonąwszy nieco dodał:

— Genowefo, zaprowadź twego narzeczonego do babci, aby was pobłogosławiła.

Borrèze zwrócił się do młodej kobiety i rzekł poważnym, wzruszonym głosem:

— Bądź zdrowa, Katarzyno.

— Bądź zdrów, Lucyanie — powtórzyła pani Levallier, ścigając wzrokiem oddalającą się parę a skoro znikli za fałdami ciężkiej portyery, zrozumiała dopiero całą doniosłość ofiary na jaką się skazywała.

W milczeniu pochyliła głowę na piersi i w bolesnych pogrążyła się myślach. Maksym śledził niespokojnie wyraz jej twarzy i zatrwożył się widokiem cierpienia malującego się na licach żony.

Powiódł wzrokiem dokoła, szukajac wspomnień minionego szczęścia, które burza namiętności rozproszyła bezpowrotnie, zostawiając za sobą tylko gorycz i rozczarowanie.

Pod wpływem tego wrażenia, mężny i odważny Maksym nie potrafił zapanować nad sobą i dwie grube łzy stoczyły się po jego policzkach.

— Dlaczegóż się smucicie? — zawołała pani Maleyra — czegóż wam jeszcze brakuje do szczęścia?

Katarzyna spojrzała na męża a widząc, że nietylko sama cierpi, rzekła:

— Maksymie, czy chcesz abym się uśmiechnęła? Patrz ja się już śmieję, tylko ty nie płacz, najdroższy!

Jak rozbitki uratowani z powodzi cieszą się najmniejszym ocalonym przedmiotem, tak również Maksym i Katarzyna poprzestali odtąd na tej odrobinie szczęścia, jakie im zapewniło spełnienie surowego choć wzniosłego obowiązku.

KONIEC.

Dzienniki w Japonii.

Japonia postępuje bardzo szybko za cywilizacyą europejską, czego dowodem choćby to, że podczas gdy w roku 1872 wysłano tam zaledwie 2 i pół miliona listów, w roku 1874, kiedy zaprowadzono poczty europejskie, liczba posyłek dosięgła sumy 47 milionów, pomiędzy temi 25 milionów listów, 10 milionów kart pocztowych i 9 jedna czwarta mil. egzem. gazet

Przeszłość dziennikarstwa japońskiego nie jest dawną. Pierwsze pismo codzienne zaczęło wychodzić w Japonii dopiero w roku 1872. Dziennikarstwo rozwijało się tam zwolna, gdyż zbyt surowe cenzura rządowa przytłumiła swobodę słowa. Kiedy jednak 16 Maja 1884 roku ogłoszono w Japonii wolność prasy, pisma tamtejsze zaczęły szybko się rozwijać i wzrastać tak co do formatu, jak i co do liczby czytelników.

Dziennikarstwo jest tam zresztą urządzone na sposób europejski, a właściwie niemiecki. Każdy dziennik posiada nawet „redaktora od kozy", który pobiera około 1,000 fr. rocznej płacy za to tylko, że w danym razie odsiaduje karę więzienia, jeżeli redakcya zostanie na nią skazaną.

Są tam dalej dzienniki półurzędowe i opozycyjne. Do półurzędowych należy dziennik „Nühi-Nichi Szimbun", „Nowiny codzienne", który otrzymuje subwencyę rządową a w zamian za to odpiera w sposób często grubiański wszelkie zarzuty, czynione ministrom.

Naczelnym redaktorem tego dziennika jest Fukuchi Kenjero, dawniejszy tłomacz w ministeryum spraw zagranicznych. Redaktor ten, władający kilku językami europejskiemi, był właśnie tym, który dzienniki japońskie zreformował na sposób europejski, a przecież dziennik jego nie ma więcej nad 4 tysiące prenumeratorów. Zupełnie tak, jak europejskie półurzędówki.

Sympatyą publiczności japońskiej cieszył się za to dziennik „Iiji Szimpo", którego redaktorem jest Fukuzawa ulubieniec młodej Japonii (na sposób czeski) i człowiek, który przyszłe szczęście swej ojczyznie widzi w parlamentaryzmie, domaga się od rządu zaprowadzenia chrześciańtwa i głosi zasady równouprawnienia kobiet.

Dziennik jego został jednak w ostatnich czasach zakazanym.

Bardzo poważanym dziennikiem w tym kraju jest „Jubiu Hocht Szimbun", popierający związek Japonii z Chinami i Anglią przeciw Rossyi, którą uważa za groźną nieprzyjaciołkę Japonii. Pismo to ma stałych korespondentów w Ameryce i Europie, a głównie w Londynie.

Podrzędniejszemi dziennikami, ale za to poczytniejszemi, są „Yomiuri Szimbun" (wywoływacz miejski) i „Kajsrin Szimbun", (Reforma), które mają przeszło po 20 tysięcy prenumeratorów.

Są to pisma goniące za sensacyjnemi nowinkami i sprawozdaniami z procesów skandalicznych. Pisma te, należące do kilku mandarynów, przynoszą swym wydawcom znaczne dochody.

Najpoczytniejszem pismem japońskiem jest „Asaszi Schimbun" (Gazeta jutrzenki), wychodzące u Asaka; ma ono 30,000 prenumeratorów. Najwięcej jednak rozwinęła się tam prasa skandaliczna. Należące do niej dzienniki przepełnione są opisami najbrudniejszych spraw, a wydawcy ich nie gardzą nawet wyłudzaniem pieniędzy za... milczenie zupełnie na sposób „szornalistów" wiedeńskich.

Pod tym względem wydawcy japońscy, są bardzo pomysłowi. Opisawszy w dzienniku skandal, zaszły w łonie jakiej rodziny, posyła się roznosiciela, który staje przed mieszkaniem opisanych i odczytuje ów artykulik głośno raz i drugi i w ten sposób sprawia podwójną nieprzyjemność rodzinie, która rzecz naturalna, nieraz drogo się opłaci, by roznoszenie wieści o skandalu powstrzymać.

Od czasu jednak kiedy grasowanie dzienników tego rodzaju zaczęło być nieznośnem, rząd ostro przeciw nim występuje; wszelako nie zdołał nauczyć dziennikarzy przyzwoitego i moralnego sposobu pisania.

Wogóle pisma japońskie byłyby u nas wprost niemożebne, gdyż np. pisma humorystyczne (i takie tam istnieją) zamieszczają nietylko wcale dwuznaczne dowcipy, ale nawet i rysunki, które przekraczają europejskie przepisy o moralności a nawet i przyzwoitości publicznej.

Zdaje się, że wszystko to wynikło ztąd, iż Japonia nie rozwija się samodzielnie, lecz naśladuje Europę, przyczem nie zawsze bierze od niej rzeczy dobre. Kopia bywa zwykle gorsza od oryginału.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Otóż panowanie śledzia rozpoczęło się i zaraz w pismach różnej barwy i zakroju na cześć jego wygłoszono ody, w których swobody słowa nie brak ale i jałowej wody niemało. Niektórzy z tych autorów na poczekaniu, śledzia podnieśli na szczyt niezwykłej wysokości i bijąc się w piersi ze skruchą, wskazywali go jako jedyny środek zatarcia grzesznych karnawałowych spraw. Drudzy rzutniejsi podrwiwali sobie z biednego śledzia a on potulnie potrząsał główką i powiadał: przyjdzie koza do woza i zawoła meee! W wierszykach tych na poczekaniu pisanych, jeden z autorów zaczepił młode pokolenie i powiada:

Dzieweczko! coś na chłopców hożych,
Oczkami zastawiała sieć.
Unikaj dziś umizgów czułych,
Dziś rządzcą... sieć.

Młodzianie od białego łona,
Jak od pokusy zdala leć,
Nie dotknij się go, nie patrz na nie,
Dziś władzcą śledź.

Pan Fulgenty znowu powiada:

Witaj, o wymoknięty
Podczas zapustnych gorączek,
Twe miejsce zajmował pączek,
Pączek nadęty.

Dziś jego potęga złamana,
I na wzgardzonym grobie,
Lud uznał w tobie
Pana.

Z dalekich ech karnawałowej uciechy, dochodzą nas wieści z Paryża, w których czytamy:

Zadziwiające niezmiernie bez wątpienia są cyfry statystyczne, dotyczące ilości jadła i napojów skonsumowanych na drugim balu, urządzonym niedawno w ratuszu, przez radę municypalną Paryża. Rada zawarła z dwoma cukiernikami kontrakt, na mocy którego zobowiązali się dostarczyć za 15,000 fr. co następuje: 6,300 szklanek napojów chłodzących, 3,200 porcyi lodów, 4,000 porcyi kawy mrożonej, 1,250 sorbetów, 6,300 porcyi ponczu, 1,900 filiżanek czekolady, 14,000 przekąsek,

6,000 bułek z pasztetem z gęsiej wątróbki, 2,060 funtów drobnych ciasteczek, 45 bab po trzy funty, 45 placków po trzy funty, 1,000 ciastek, 4,400 filiżanek bulionu, 32 kosze mandarynek, 500 butelek wina Bordeaux i 2,500 butelek szampańskiego. Przedsiebiercy zobowiązali się w razie potrzeby zaopatrzyć bufety na nowo. W pokoju przeznaczonym do palenia wypito około 40 hektolitrów piwa.

Gdy głuchoniemi u nas na balu wyłącznie dla siebie urządzonym, wywijali dziarsko polki i mazury, tacy sami biedacy w Petersburgu od dwóch lat zorganizowali rodzaj klubu, w którym schodzą się w niedzielę na wspólną „gawędę”. Pomiędzy członkami tego „cichego” klubu znaleźli się amatorzy posiadający odpowiednie talenta sceniczne, zorganizowano więc przedstawienia teatralne. Z początku szło jakoś trudno, ale postęp amatorów był widoczny tak, że w tych dniach wystawiono już „Małżeństwo” Gogola. Niewielka salka zebrań głuchoniemych została odpowiednio przygotowaną, głuchoniema publiczność zasiadła w krzesłach, a głuchoniemi artyści wykonywali sztukę z zupełnem powodzeniem, według zdania zgromadzonych widzów, którzy od czasu do czasu wybuchali homerycznym śmiechem. Dla zwykłego śmiertelnika, było to dziwne widowisko: po scenie biegali ludzie wymachując rękami, a ciszę przerywały tylko objawy zadowolenia widzów.

Z dziedziny mody. Styl *empire* coraz większe prawa obywatelstwa zyskuje w państwie mody, jak donoszą z Paryża. Fałdy spódnicy podtrzymuje skromna mała poduszeczka, stalki są coraz mniej w użyciu, tak że na wiosnę znikną prawdopodobnie zupełnie. Upięcia spódnic redukują się do najprostszych; w pasie spódnice są suto marszczone, staniki zapinane z tyłu i z przodu, a szarfy, z fantazyą przez ramię przerzucone, stanowią ostatnią nowość.

Materyały na wiosnę będą modne przeważnie w barwach jasnych; kolor czerwony i szary z niebieskawym odcieniem utrzyma się i w lecie. Nadto fabrykanci przygotowują materyały do prania w rzucane drobne pompony.

Do teatru, na przyjęcia, śniadania proszone lub obiady, modne są bardzo odmienne od spódnic, ale zawsze odpowiednio dobrane, gładkie, obcisłe staniki z materyi jedwabnej, lub półjedwabnej, przybrane haftem stalowym, złotym, wstążkami lub złotą koronką. Ulubioną rękawiczką pozostaje duńska; jakkolwiek bogato haftowane rękawiczki są modne, niemniej gładkie uważane są najbardziej eleganckie. Moda niezbyt gustowna wprawdzie, noszenia rękawiczek czarnych do jasnych sukien i przeciwnie powraca. Na wizyty przeważnie używane są rękawiczki koloru *gris-perle*. Nadto elegantki paryzkie wprowadziły nową, nietyle gustowną ile oryginalną modę, a mianowicie obuwie balowe dwoistego koloru. Jeżeli pantofelek na prawej nóżce jest niebieski, na lewej powinien być czerwony; albo też jeden żółty, drugi biały, za szczyt szyku wszakże uchodzi jeden pantofelek czarny, a drugi biały. Nadto ostatnim wyrazem mody jest noszenie do tualet balowych wyciętych futrzanych boa, które niezdejmują się nawet w tańcu. Jaki cel tej ostatniej inowacyi trudno doprawdy odgadnąć, bo niepodobna uwierzyć, aby futro przy powiewnej tiulowej tualecie robiło estetyczne wrażenie.

Pewien pan X. z poświęceniem pięciu tysięcy rubli ma niezmyśloną chętkę urządzenia w Warszawie konkursu... piękności.

Nie jest to żadną farsą, inicyator bowiem owego projektu znany jest w pewnych kołach, jako autor różnych oryginalnych zabaw, które zwykle do skutku doprowadzał.

Pan X. jest dzisiaj prawie pewny, że pomysł swój urzeczywistni i wierzy, iż piękne warszawianki w tem mu dopomogą.

Według projektu konkurs dzielić się będzie na trzy oddziały: brunetek, szatynek i jasnych blondynek.

W każdym oddziale będzie pięć nagród: wielki medal złoty (wartości rs. 300), mały złoty, medal srebrny i dwie nagrody pieniężne, jedna rs. 200, druga rs. 100.

Na sędziów pan X. ma zamiar zaprosić artystów malarzy, rzeźbiarzy, literatów, estetyków i w ogóle ludzi znających się na piękności...

Uczestniczki konkursu nie wnoszą żadnej opłaty, inicyator jednak nie chcąc zrazić pań z towarzystwa, wyłącza od współubiegania się o nagrodę damy z półświatka.

Każda z pań pragnąca należeć do konkursu zawiadomi tylko komitet sędziów, w której godzinie przyjmie wizytę i wtedy przybędą eksperci dla orzeczenia urody i spisania protokułu!

Gdyby premiowane piękności zgodziły się, pan X. urządziłby z nich... wystawę na cel dobroczynny!

Trzeba rzeczywiście nie mieć żadnych kłopotów na głowie, aby ją podobnemi pomysłami zajmować i na ich urzeczywistnienie wyrzucać pięć tysięcy rubli! Czyż innych gwałtownych potrzeb nie mamy żadnych? Czyż biednych w kraju zabrakło?

Z Bośni i Hercegowiny dochodzą wiadomości, że wskutku bądź zupełnie przerwanej, bądź nader utrudnionej komunikacyi, daje się dotkliwie uczuwać brak artykułów żywności, biedniejsza część mieszkańców cierpi już nędzę głodową, a rząd przeznaczył odpowiednie sumy dla zaradzenia złemu. Gwałtowny boreasz utrudnia wielce roboty około uprzątania śniegów i przywrócenia komunikacyi. W Czarnogórzu również panuje wielka nędza z powodu niezwykle ostrej zimy, tak że już niejedna rodzina czarnogórska przekroczyła hercegowińską granicę, szukając pomocy i przytułku. *Bosnische Post* donosząc o tem dodaje: że gdy panowie Czarnogórcy są w biedzie, przypominają sobie zawsze sąsiada i przyjaciela.

W Sycylii znowu z powodu panującego od wielu miesięcy przesilenia między posiadaczami kopalni siarkowych i handlarzami siarki z powodowanej temsamem obniżki płacy robotnikom oraz zamknięcia licznych kopalni siarkowych, panuje w Sycylii pośród roboczej ludności nieopisana nędza.

Około 3,000 ludzi pozostało bez zajęcia, niemając czem zaspokoić najpilniejszych potrzeb i niespodziewając się znikąd pomocy.

W Piazza Armerina przyszło do poważnych rozruchów i nieszczęśliwych, którzy przemocą chcieli pozyskać pracę, zapomocą broni dopiero zdołano uspokoić. W Riese, Castrogiovanni, Walguarnera, Villarosa i Mazzarino panują równie opłakane stosunki; setki rodzin skazanych jest na śmierć głodową, jeżeli rząd nie rozpocznie szybkiej akcyi ratunkowej.

Blizzard. Taką nazwę nosi najstraszniejszy z orkanów, jaki nawiedziwszy niedawno część Ameryki północnej, zniweczył niezliczone życia ludzkie, zburzył domy, spustoszył pola. Blizzard wybucha zwykle podczas pogodnego, suchego dnia zimowego. Nagle, gdy nic nie zdaje się zapowiadać zbliżającej się katastrofy, w północno-zachodniej stronie widnokręgu ukazuje się błyszcząca, biała ściana, która się stopniowo zbliża. Słońce blednie, zasłania je coraz gęstsza mgła, aż wkońcu znika zupełnie. Biała ściana staje się coraz groźniejszą i nareszcie wybucha orkan z całą gwałtownością, sypiąc nie śniegiem ani gradem, lecz lodowemi kolcami, które godzą w ludzi, jak strzały. Kolce te w szalonym wirze zasypują drogę, zakrywają wszelki widok, przytem zimno staje się coraz dokuczliwsze, przenika najgrubsze odzienie, najcieplejsze futra, mrozem ścina krew w żyłach. Nietylko ludzie, ale żadne zwierzę zaskoczone przez orkan nie jest w stanie stawiać mu oporu, a niejednokrotnie wicher unosi swoje ofiary daleko i rzuca je znów o ziemię. W owych miejscowościach Ameryki północnej, nieochronionych ani przez lasy, ani przez góry, będących ojczyzną blizzarda, straszne to zjawisko nie jest rzadkością, ale o orkanie takiej siły jak ostatni, który pochłonął tysiące ofiar w ludziach, smutne roczniki krain owych nie wspominają. Szczegóły nadesłane z Minnesoty, Dakoty, Montany i t. d. są przerażające. Ktokolwiek znajdował się po za domem w chwili wybuchnięcia blizzarda, był stracony. Ginęli ludzie na drodze, obejmującej kilkanaście kroków, a dzielącej stajnię od domu; mężczyzni, którzy pędzili bydło do obory, już wraz z niem nie powrócili. Setki dzieci, powracających ze szkoły, zginęło. Mróz był tak straszny, że ludzie w mieszkaniach marzli na śmierć. Pasażerowie w pociągach kolei żelaznej nawet padali ofiarą orkanu. Straty w bydle są nieobliczone, a ztąd nędza pośród osadników podwójna. Słowem stara Europa nie ma nawet przybliżonego pojęcia o grozie amerykańskiego blizzarda.

Rodaczka nasza pani Łozińska, pochodząca z Radomia, która ukończyła fakultet medyczny w jednym z uniwersytetów szwajcarskich, zakłada w Konstantynopolu lecznicę dla kobiet. Ponieważ mahometankom nie wolno leczyć się u mężczyzn, więc kobiety lekarki mają w Turcyi dość wielkie powodzenie.

Dwaj młodzi muzycy, pp. Jarońki i Rozencwajg, udali się do Konstantynopola dla założenia tam szkoły muzycznej. Inicyatorką i protektorką tego zakładu ma być p. L., nasza rodaczka, zamieszkała od lat kilku nad Bosforem.

Honory wojskowe na pogrzebie kobiety. W Londynie zmarła temi dniami pani Marya Foggs niewiasta, która pielęgnując podczas ostatniej wojny angielskiej z najwyższem poświęceniem żołnierzy, otrzymała w czasie pełnienia szlachetnej swej czynności ranę, od której po długich cierpieniach zmarła.

Pani Foggs przez ciąg swego życia odmawiała niezmiernie stanowczo przyjęcia jakiegokolwiek odznaczenia, nie przyjmując nawet ofiarowanego jej krzyża „Wiktoryi”.

Gdy kilka dni temu królowa dowiedziała się o zgonie bohaterki, rozporządziła, aby pogrzeb zmarłej odbył się zupełnie po wojskowemu z wszelkiemi honorami należnymi dowódzcy armii.

Rozkaz królowej ściśle został spełniony.

W księgarni wchodzi gospodarz wiejski i prosi o kalendarz.

— A jakiego sobie życzycie?

— Albo ja wiem który będzie lepszy.

— I ja nie wiem, to zależy od gustu, w jednym jest więcej zabawy, w drugim obietnic pogody.

— Ha! to wezmę z pogodą, bo zabawić się mogę kiedy chcę a pogody za pieniądze nie kupi.

* * *

W jednym z numerów złośliwe „Figaro” przedstawia przesłuchanie Wilsona przez sędziego śledczego, Alberta Millaud, w sposób następujący:

„Do biura sędziego śledczego wchodzi Wilson. Sędzia, powstając.

Sędzia: Dzień dobry panu. (Do służącego) Fotel dla p. Wilsona.

Wilson: Dziękuję. (Siada i wyjmuje cygara). Pan pozwoli?

Sędzia: Ależ naturalnie. Wszak kobiet tutaj nie ma.

Wilson: Jakże zdrowie, panie sędzio?

Sędzia: Dziękuję, czuję się nieco znużonym.

Wilson: Zupełnie tak, jak ja. Pan nie pojmuje jak wiele muszę jeździć; ale mam wyborne konie. Wyobraź sobie, przestrzeń pomiędzy Avenue de Yena a dworcem lugduńskim przejeżdżam w przeciągu szesnastu minut.

Sędzia: Ja jeżdżę omnibusem, ale najczęściej chodzę pieszo.

Wilson: To szkodzi zdrowiu. Cóż nowego słychać w Paryżu?

Sędzia: Właściwie ja pana powinienbym o to spytać.

Wilson: Ależ ja nie mam czasu do zasiągania takich wiadomości. Pracuję wiele, a bawię się bardzo rzadko.

Sędzia: Często pan bywa w teatrze?

Wilson: Tylko wówczas, kiedy sztuka ma istotne powodzenie... a zatem rzadko. Nie widziałem nawet „Dekorowanego” Mailhaca w teatrze Varietés!

Sędzia: Ma to być wyborna komedya!

Wilson: Tak, mówią o tem powszechnie. Pani Réjane ma w niej grać wybornie. Zna pan tę aktorkę?

Sędzia: Słyszałem ją raz w salonie. Bardzo miła osóbka.

Wilson: Mówią, że Meilhac ma wejść do Akademii na miejsce Labisza. Zasługuje też na to. To godny następca Labisza.

Sędzia: Tak, Labisz posiadał wyborny dowcip.

Wilson: Przypomina pan sobie jego krotochwilę: La Cagnotte?

Sędzia: Widziałem ją. Brasseur grał w niej rolę ziemianina (naśladuje go).

Wilson: A Lhéritier? Przypomina pan sobie tego komika (naśladuje Lhéritiera). ...Ale (patrzy na zegarek). Do dj... już późno. Żegnam pana!

Sędzia: Do widzenia. Kiedy będę miał przyjemność?

Wilson: W tych dniach.

Sędzia: Pozwoli pan, że odprowadzę go do schodów?

Wilson: Ależ proszę.. nie trudź się pan. (Sędzia odprowadza go).

Nazajutrz zamieściły pisma notatkę następującą. (Do sprawy Wilsona) Wczoraj sędzia śledczy przesłuchał powtórnie pana Wilsona. Przesłuchanie trwało od godziny 12 do 7 wieczorem. Rezultat przesłuchania trzymanym jest w najgłębszej tajemnicy.”

* * *

Nadzieja Anglii. W pewnym londyńskim pensyonacie dla dziewcząt, wydarzyła się zajmująca historya. Właścicielka zakładu, mrs Ellen White, zrobiła spostrzeżenie, iż młode elewki, które dotąd słynęły z lenistwa, nagle nadzwyczajną poczęły okazywać pilność. Przesiadywały jak zaklęte nad „gramerami,” a do obiadu trzeba je było formalnie naglić... Raz wszakże jedna z dochodzących uczenic, zapomniawszy w domu swoją książkę, cichaczem schwyciła gramatykę jednej z elewek zakładu i tryumfującą zaniosła do właścicielki zakładu. Ta struchlała i wydała przeraźliwy okrzyk... Na okładce była gramatyka, a wewnątrz... romans Pawła Kocka. Rozpoczęła się tedy surowa rewizya domowa i wykazała, iż w zakładzie, pod firmą książek naukowych, krążyły powieści, działające niekorzystnie na wyobraźnię młodych dziewcząt. Mrs Ellen White zaskarżyła tedy introligatora, który uczącym się missom tak nadobnie pooprawiał książki. Ten bronił się w następujący sposób: „Jeżeli mi kto przyniesie książki z poleceniem, abym do niej dorobił okładkę gramatyki, to ja patrzę tylko, czy okładka stosuje się do wielkości książki, cenzury zaś nie wykonywam... Cenzury nie mogę wykonywać dla tego, iż za oprawę jednej książki, biorę tylko szylinga, podczas gdy p. White za jedną elewkę każe sobie płacić 80 funtów.” Introligator został uwolniony, a White opuściła salę sądową, biadając nad moralnym upadkiem młodego pokolenia, „nadziei Anglii”

RÓŻNE MYŚLI.

Człowiek, powiem ci prawdę, jest złem zwierzęciem.

Molierè.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Pszczelnictwo, zbiór wiadomości o życiu i przyrodzie pszczół do potrzeb pszczelarzy zastosowany, oraz przewodnik racyonalnego prowadzenia pasieki w ulach ramowych Warszawskich, z 39 drzeworytami w tekście. Wydanie drugie poprawione i powiększone przez Kazimierza Lewickiego. Skład główny u Autora w Muzeum pszczelniczem, Koszyki N-r 45. Cena całego dziełka rs. 1 kop. 20.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 8 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z botaniki. — Obrazki z życia wiejskiego (wiersz). — Na brzegach Luizyany. — Z pobytu Piotra W-go w Saardam w Hollandyi. — Szop amerykański (z drzeworyt.) — Ruiny zamku Czorsztyńskiego (z drzeworytem). — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Stefcia i Antoś. — To nieładnie płakać! (wiersz). — Dwa ptaszki (z drzeworytem). — Natalka (wiersz). Nieszczęśliwe polowanie. — Jaś i Klonio (wiersz). Bałwan ze śniegu. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Февраля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.